

Waldemar Borzestowski
**BULTERIER
SAMSON
I JA**

Wydawnictwo
ab



Waldemar Borzestowski (ur. 1964) – prozaik, malarz, dziennikarz. Sporo podróżował. Handlował starymi książkami, oprowadzał konie po parkurze, był motorniczym, robotnikiem torowym, a także pracownikiem dużego koncernu prasowego. Współpracował z wieloma pismami literackimi. W 1999 roku ukazał się jego zbiór opowiadań *Nocny sprzedawca owoców*. Mieszka w Gdańsku.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl](#).

**BULTERIER
SAMSON
I JA**

Waldemar Borzestowski

**BULTERIER
SAMSON
I JA**

Wydawnictwo
ab
two

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008
Wydanie I
Warszawa 2008

Beatce

Nie posiada rodziców. Odebrany im w wieku kilku tygodni, z ziemi, po której stąpa, czyni swoje dziedzictwo, bardziej przywiązany do osoby niż miejsca, głębią swojej duszy obłaskawia światy. Pozbawiony prawa do uczestnictwa w boskiej mocy, staje się silny dzięki swej uczciwości. Nie posiada bogactw, a jedynym jego bogactwem jest pokora. Nie wierzy w magię, i dlatego kształtuje swe wnętrze, aby mógł się na nim oprzeć. Nie roztrząsając spraw życia i śmierci, pogrążony jest w wieczności. Jego ciało to odwaga, błysk światła to oczy, słuch zastępuje rozsądek, kończyny przepelnia zapal. Nie jest przywiązany do prawa, lecz z własnej ochrony czyni prawo. Nie obmyśla strategii, przystępując do walki, swoboda, aby zabić lub zwrócić życie – oto cała jego strategia. Niczego nie zamierza, lecz wykorzystuje zawsze dogodną sposobność. Nie ufa cudom, nie tworzy zasad, lecz akceptuje wszystkie rzeczy, jakie widzi. Z istnienia pustki czyni taktykę, talent zastępuje mu szybka myśl. Wrogiem jego jest roztargnienie, przyjacielem umysł. Z życzliwości i sprawiedliwości czyni swoją zbroję. Nieporuszony duch jest jego twierdzą, staje zawsze tam, gdzie nie można go pokonać, i nie przeoczy żadnej słabości przeciwnika. Nie robi niczego, co wzbudziłoby w nim wątpliwości, akceptuje śmierć, która stoi na końcu drogi wojownika.

(Kodeks bulteriera, tekst z roku 1889, Anglia)

I

*Kiedy będziesz gotów,
mistrz sam się znajdzie.*
prysłowie buddyjskie

Najpierw byłem zwyczajnym dzieckiem. Urodziłem się o świcie, wielki i ciężki jak pięć bochenków chleba, moja dobra mamusia nosiła mnie całych dziesięć miesięcy i nie narzekała. Nie spieszyłem się. Gdy wreszcie przyszedłem na świat, nazwali mnie Słoneczko. Byłem okrągłutki, wszyscy chcieli nosić mnie na rękach. Jako kilkuletni chłopiec zobaczyłem generała de Gaulle'a, który przejechał w asyście milicyjnych motocykli moją ulicą, aby odwiedzić poukrywanych pod ziemią żołnierzy z Francji, odpoczywających na terenie cmentarza wojskowego. Zapamiętałem dokładnie długi nos generała i czapkę. Taki nos pragnąłem mieć, wydawał mi się niezwykle męski i władczy. Łaskawy Bóg postanowił spełnić to życzenie. Miałem szybki czterokołowy rowerek i kochaną babcię, która pewnego dnia postanowiła nie opuszczać naszego mieszkania i rzeczywiście pozostała w nim, i tylko w nim, aż do swej śmierci. Bawiłem się w ogrodzie, gdzie rosły najśodsze węgierki i truskawki. Na jego terenie, gdy dorastałem, grono nowobogackich wzniosło luksusowe domki; smak owoców z tamtych drzew wciąż pojawia się w moich snach. Miałem ojca, który po pijanemu tańczył twista i rozdawał pieniądze, ojca lekarza, co zanim stał się Niemcem, był Polakiem. Jego Anioł Stróż długo mówił mu do ucha po

niemiecku z polskim akcentem. Byłem młodzieńcem, który bał się jak ognia matematyki. Byłem młodzieńcem, co pisał wiersze o miłości, a kiedy się wreszcie zakochał, zupełnie stracił głowę.

A teraz... Teraz zbliżam się powoli do czterdziestki i od kilku miesięcy jestem na ostrym zakręcie, tak bardzo bezradny jak wyrzucony z samochodu pies, co jeszcze przed chwilą miał wszystko, a teraz nie ma nic, nie wie, co się zdarzyło, i czeka w miejscu, gdzie został porzucony przez los, w nadziei, że za chwileczkę wszystko to, co było złe, okaże się nieprawdą.

Najpierw straciłem pracę, bardzo głupio i poniekąd na własne życzenie. Po prostu sam się prosiłem. W świecie, gdzie wszyscy na wszelkie sposoby, kosztem największych wyrzeczeń i upokorzeń, starali się utrzymać swoje stanowiska, zachowywałem się jak ktoś, kto przed chwilą odziedziczył ogromny majątek i na niczym mu nie zależy. Nie wiedzieć czemu pojawił się wtedy we mnie taki luz, że nie sposób było go znieść, miał on podobno destrukcyjny wpływ na cały zespół. Moi zwierzchnicy zakomunikowali mi to podczas urządzanej mniej więcej co miesiąc uroczystości wręczania wypowiedzeń słabo rokującym pracownikom. Zostałem zaliczony do ich grona. Krążyły plotki, że działałem na nerwy prezesowi, a moje dowcipne powiedzonka doprowadzały go do szewskiej pasji. Widocznie nie miał do siebie dystansu. To wcale nierzadka cecha u ludzi małych, oczywiście nie wzrostem, lecz duchem.

Minęło kilka tygodni, zanim załapałem, co się właściwie stało, że owszem, mogę rano spać do woli i cały dzień szwendać się po domu w poszukiwaniu jakiegoś

zajęcia, ale nikt mi za to nie zapłaci. To było wstrząsające. Listonosz, którego do tej pory uważałem za sympatycznego faceta z wypchaną po brzegi torbą, przestał mi się podobać, wzbudzał niechęć, wciąż przynosił mi nowe rachunki do uregulowania, a ja nie mogłem mu w tym przeszkodzić. Byłem bezradny i coraz bardziej smutny. Smutek obrastał mnie jak bluszcz i w życiu zaczęło brakować mi słońca. Ciężko mi było zmusić się do jakiegokolwiek działania. Pomysł, aby zacząć szukać nowej pracy, przyjmowałem jak propozycję wizyty u stomatologa. To przecież z pewnością będzie bolało. Zacząłem przeglądać gazety z ogłoszeniami. Robiły okropne wrażenie: wszędzie wymagania, zazwyczaj takie, jakim nie byłbym w stanie sprostać, nie umiałbym albo nie miał ochoty. Inteligentny na swój sposób, czułem, że do niczego się nie nadaję. „Jesteś leniwy”, mówili kumple. I pewnie mieli rację.

Teraz to oni stawiali mi piwo i częstowali mnie papierosami. Przyjmowałem ich dobrowolną ofiarę nie bez wyrzutów sumienia. Co miałem jednak robić? Chciało się pić i chciało się palić. Wstydzilem się, ale brałem. „Masz słaby charakter”, powtarzała mi zawsze moja matka.

Wciąż wydawałem się sobie młody – nawet nie zauważyłem, że osoby w moim wieku bywają już dziadkami. Moja infantylność była szczególnie bolesna dla mojej eks-małżonki, przestałem bowiem płacić alimenty. Spędziliśmy ze sobą tylko siedem lat, lecz owocem tej chybionej próby znalezienia drugiej połówki było dziecko, córka, która właśnie skończyła szesnaście lat i wybierała się do liceum. Potrzebowała rozmaitych niezbędnych akcesoriów, bez których nie sposób

kontynuować edukacji, a ja, no cóż, po raz kolejny w życiu zawiodłem na całej linii.

Mamusia, z którą mieszkalem znacznie dłużej, niż powinienem, powiedziała, że zawsze mogę zrezygnować z wynajmowanego na mieście lokum i wrócić do niej. Była żona, która właśnie podejmowała kolejną próbę ułożenia sobie życia, zakomunikowała mi łaskawie, że poczeka na pieniądze i choćby nie wiem co, nie wsadzi mnie do kryminału. Może w dalszym ciągu żywiła dla mnie jakąś sympatię i poczuwała się do winy za moją obecną kondycję. W końcu to ona przed laty zadecydowała, że powinienem ich opuścić. Nasze wspólne życie nie należało do udanych, choć na początku oczywiście nic nie zapowiadało smutnego epilogu. Początkiem bowiem każdego małżeńskiego związku, także naszego, jest zazwyczaj miłość, taka do grobowej deski.

Poznaliśmy się w szkole średniej, chodziliśmy do tej samej klasy. Można powiedzieć, że od razu wpadła mi w oko, byłem jednak zbyt nieśmiały, aby zaproponować jej randkę. Krążyłem wokół i starałem się zawsze być gdzieś w pobliżu, aby móc z nią zamienić choć słowo. Była jedną z najładniejszych dziewczyn w naszej szkole, jasne włosy spinała w kok, chodziła nieco pochyłona, bo – jak mi potem zdradziła – wstydziła się swego biustu, jej zdaniem był zbyt obfity, moim – w sam raz. Jej piersi mieściły się idealnie w moich dłoniach, pamiętam dokładnie moment, kiedy pierwszy raz ich dotknąłem. To była jedna z najpiękniejszych chwil w moim zafajdanym życiu. Zanim to jednak nastąpiło, musiało upłynąć wiele miesięcy wyczekiwania, bo ona nie była jedną z tych łatwych panienek, do których smalili cholewki moi koledzy, których szybkie zwycięstwa po-

wodowały u mnie frustrację. Miałem wątpliwości, czy moje słodkie jabłuszko nie wisi zbyt wysoko, a sięgnięcie po nie dla kogoś takiego jak ja nie jest po prostu niebezpieczne. Dlaczego? Może dlatego, że przestałem spać, jeść i zamiast się uczyć, zacząłem pisać wiersze. Były fatalne; kiedy pokazałem je w tajemnicy jedynej przedstawicielce płci odmiennej, której mogłem zaufać, po prostu wybuchnęła śmiechem. Po chwili przeprosiła mnie, ale śmiała się dalej.

– Bardzo źle? – spytałem z nadzieją, że nie wszystko stracone, a po poprawkach któryś wiersz okaże się w miarę przyzwoity. Ona jednak знаła się na poezji i nie zamierzała mnie oszczędzać.

– Nie pokazuj ich nikomu.

Nie mogłem w to uwierzyć, przecież zawałem matkę, oddając się twórczości. Nie bez oporów wylałem całego siebie na papier. Podobno to właśnie było w tym wszystkim najzabawniejsze – moja miłość na papierze stawała się niezamierzenie komiczna. Zrozumiałem wtedy, że pisząc wiersze, nie zdobędę względów ukochanej. Żaden był ze mnie Słowacki, Cummings czy Eliot. Zacząłem więc wpatrywać się w jej oczy – tak doradził mi jeden z kumpli. Stałem się hipnotyzerem amatorem. Miała takie piękne, niebieskie oczy. Tak się mówi, niebieskie, a przecież każdy kolor ma tysiąc odieni; jej przypisana była barwa, jaką widziałem później na obrazach holenderskich mistrzów, w pejzażach przedstawiających spokojne morze. Kropla z ich pędzla, którą odebrali by falom, mogła posłużyć przy malowaniu tęczy oczu mojej wybranki. Patrząc w nie, to nąłem codziennie wiele razy. Musiała to dostrzec i była obojętna, a im bardziej stawałem się natarczywy, tym

mniej zwracała na mnie uwagę. Zawsze się nad tym zastanawiałem i mimo że teraz znacznie więcej wiem o kobietach niż wtedy, wciąż nie pojmuję, jak doskonale potrafią panować nad emocjami, kiedy my, chodząc wokół nich, gotowi jesteśmy dla jednego przychylnego słowa zrobić wszystko.

Byłem tak bardzo zakochany, że z pewnością każdy psychiatra uznałby mój stan za wymagający leczenia. Wiedziała o tym cała klasa, i ona też wiedziała, i czekała cierpliwie, aż kiedyś zdecyduję się na coś więcej niż patrzywanie i podejdę. To po prostu musiało się wydarzyć, dojrzało w przestrzeni między nami, aby w którymś momencie nastąpić. Powiedziałem jej chyba, że bardzo mi się podoba, jakoś tak, dokładnie nie pamiętam. To miał być dla niej taki wyraźny sygnał, że jestem obok i mam wobec niej konkretne zamiary. Będę chciał się umówić, wybrać na spacer albo do kina. Tak zazwyczaj wygląda pierwszy krok, zaczyna się rozmowa, ludzie poznają siebie nawzajem i decydują, czy warto się spotykać. Jeżeli decyzja jest na „tak”, można mówić o sukcesie, często jednak już na początku pojawia się odmowa. Nie jest się w jakimś typie i tyle. Młodość jest trudna, bo bezkompromisowa, a znaczna część uczuć pozostaje nieodwzajemniona. Miałem szczęście, bo kiedy zaproponowałem: „Może byśmy gdzie się wybrali?”, wyraziła zainteresowanie. Mogłem być z siebie dumny, wszyscy koledzy mi zazdrościli.

„Taka sztuka!”, to był najwyższy komplement w ich ustach. Moja Dorcia... Wieki dzielą mnie od tamtych wydarzeń. Łza się w oku kręci, takie wspomnienia to jak bezpowrotnie stracony kapitał. Krach na giełdzie, przegrana w kasynie, siła żywiołu – odebrały sens

zdarzeniom, które wtedy były najistotniejsze. Pojawiałem się przed jej domem, gdy wychodziła do szkoły, po lekcjach wracaliśmy razem. Ona słuchała, a ja nie ustawałem w wysiłkach, aby wydać się jej na tyle interesujący, by wciąż przy mnie trwała. Ileż wysiłku kosztowało mnie, by wydobyć z niej, że nie jestem jej obojętny, tylko tyle. Przypierałem ją do muru codziennie, „męczyłem”, zależało mi na czymś więcej. Na tym to polega: zawęzić pole widzenia osoby adorowanej tak, aby w końcu widziała tylko mnie, przyznała się do tego, czym ja od dawna żyłem – do miłości. Słowo „kocham”, kiedy jest się bardzo młodym, ma ogromne znaczenie, stanowi ostateczne ukoronowanie procesu oblaskawiania, nie jest jeszcze wytrychem, który pojawia się w rękach włamywacza po trzydziestce, starającego się jak najszybciej zaciągnąć kobietę do łóżka. Kiedy wreszcie wypowiedziała je, byłem wniebowzięty, wstąpiłem do elitarnego grona kolegów, którzy mieli swoje dziewczyny. Mogłem teraz moją Dorcię trzymać za rękę, siedzieć z nią w szkolnej ławce, wychodzić na prywatki. Byłem potwornie zazdrosny, gotów dać po mordzie każdemu, kto spojrzał na nią inaczej, niż powinien. Świerzbiły mnie ręce, stanowiła najcenniejszą rzecz, jaką posiadałem. Nie pamiętam, jak szybko przeszliśmy od pocałunków do całej reszty, zdobywałem ją po kawałku, z dnia na dzień miałem jej coraz więcej. Byliśmy sobie tak bardzo ciekawi, że na poznawanie nie starczało nam czasu, wciąż mieliśmy go za mało, mimo że praktycznie spędzaliśmy ze sobą każdą wolną chwilę. Nie chodziło tylko o seks, choć on z pewnością skłaniał nas do spotkań w różnych dziwnych miejscach, gdzie mogliśmy być sami. Pamiętam, jak w pewne deszczowe

popołudnie weszliśmy do jakiejś kruchty, aby móc wymienić się gorącymi pocałunkami i pomacać zziębniętymi dłońmi po plecach i czym się tylko dało. W którymś momencie drzwi uchyliły się i do środka weszła starsza kobiecina, spłoszyła nas i uciekliśmy. Miałem wrażenie, że musiała dostrzec nasze zmieszanie, w jej oczach wyraźnie zobaczyłem zgorzenie. Nie przejmowaliśmy się niczym, czym przejmować się nie musieliśmy, życie z dnia na dzień bardzo nam odpowiadało, bo każde spotkanie niesło tyle wrażeń i warto było czekać. To było szalenie ekscytujące, jedyne w swoim rodzaju, jak podróż do tajemniczej, egzotycznej krainy. Pełni zachwytów, mogliśmy godzinami patrzeć sobie w oczy. Banalne – prawdopodobnie, ale nam wydawało się szczególne i niespotykane. Jak większość zakonanych ludzi miałem wrażenie, że nasza miłość trwać będzie na wieki wieków amen. Nie wyobrażałem sobie świata bez Dorci. „Musiałbym umrzeć”, mówiłem i rzeczywiście tak myślałem.

Ciąża pojawiła się nagle, w swojej głupocie sądziłem, że nic to między nami nie zmieni. A jeżeli już, to na lepsze, w końcu mieliśmy coś naprawdę wspólnego – dziecko. Byłem w błędzie – zmieniło się wszystko. O studiach mogliśmy zapomnieć. Wyrzucili nas ze szkoły w maturalnej klasie, ją – bo pęczniejący brzuszek w tamtych czasach nie był akceptowany przez ciało pedagogiczne – mnie – bo przestałem się uczyć. Byłem solidarny, gotowy do głupich i mądrych poświęceń. Zresztą już wkrótce musiałem zacząć szukać pracy, nikt przecież nie zamierzał nas utrzymywać. Ostatkiem sił zdaliśmy egzamin dojrzałości w szkole wieczorowej, kilka miesięcy później urodziła się Julia. Daliśmy jej

imię po mojej babci. Nie mieliśmy mieszkania, więc najpierw przyjęliśmy gościnę u rodziców Dorci, tam były lepsze warunki. Moi teściowie – on inżynier, ona wzięty adwokat – od samego początku nienawidzili mnie serdecznie, córka była ich jedynym dzieckiem, wiązali z nią plany, których realizacja zajęłaby jej nie jedno, lecz trzy życia. Małżeństwo ze mną było prawdziwą katastrofą i mieli cichą nadzieję, że córka szybko to zrozumie, a wtedy wyciągną z kieszeni opracowany przez nich plan B. Łudzili się, że nie wszystko jeszcze stracone. Wnuczka była okay, tylko jej ojciec powinien się wyprowadzić, a najlepiej przepaść w jednej z czarnych dziur, jakich pełno we wszechświecie. Na każdym kroku starali się wykazać, jakim jestem matole, pomiatali mną na co dzień i od święta. Długo tego nie wytrzymałem. Wtedy po raz pierwszy i chyba jedyny w naszym małżeństwie postawiłem się. Pewnego wieczoru, po szczególnie przykrej wymianie zdań, powiedziałem do Doroty: „Wynosimy się stąd”. Spojrzała na mnie, jakby chciała się upewnić, że wiem, co robię, i zaufała mi. Łatwo podjęta decyzja w niczym nie zmieniła naszego położenia, nie stać nas było na wynajęcie mieszkania, więc przenieśliśmy się do mojej matki. Tam zajęliśmy mniejszy z pokoi, w którym ledwo udało się zmieścić łóżko dziecka i nasze posłanie. Już wkrótce okazało się, że trafiliśmy z deszczu pod rynnę, nie minął miesiąc, a obie panie nie mogły na siebie patrzeć.

– Ona niczego nie potrafi – oceniała moja matka. Była przekonana, że już niebawem zarośniemy brudem i umrzemy z głodu.

– Jest wredna – określała charakter swojej teściowej Dorcia.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl](#).